



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

GRZECHY PEDAGOGICZNE.

STUDYA Z NATURY

przez

Janinę S. Aleksotę.

III. Niedbalstwo i opieszałość.

Wiek bieżący, któremu koniec się zbliża, cechuje się, między innymi, krańcowością w różnych kierunkach. I tak wpada się przeważnie z ostateczności jednej w drugą w życiu społecznym i w rodzinnym: albo zajmuje się wszystkim i wszystkimi, albo niczem. Zachowywanie umiarkowania w naszych czasach niewrozy jest coraz rzadszą rzeczą. Jedni rzucają się w wir pracy społecznej, zajęć, obowiązków (zupełnie nadobowiązkowych) a nie mogąc wszystkiemu poddać, zbywają pośpiesznie wszystko, sądząc, że godzą wszystkie kłopoty, jakie na swe barki nabrali, tracą w końcu siły i albo się na śmierć zapracowują albo zmieniają pełnię życia i sił, z ogólnego zdrowia całego organizmu i z duszy płynącą na vegetację przepracowania i wyczerpania. Inni myślą tylko o sobie i niech się wokoło nich dzieje, co chce, powtarzają spokojnie: „*noli me tangere!*” Podobne usposobienia i prądy, rozumie się, muszą odbijać się w wychowaniu, jako w najżywoźniejszej pracy społecznej.

To zobojętnienie na wszystko, byle nas nie ruszano, byle nam było dobrze, w katechizmie wychowawczym ma nazwę *niedbalstwa i opieszałości*. Należą one do grzechów głównych i jak poprzednie szkodliwych. Wychowawca, który w o-

bec wszystkiego stoi nieporuszony i z zimną krwią Anglika patrzy na poruczoną sobie młodzież, częstokroć nie umie się zdobyć na skarce nie najpospolitszych wad wychowanka. Karce nie przedstawia dlań pracę i niepotrzebną i utrudzającą. Mówi on sobie sam w duchu: moralów prawie nie warto, niech natura sama dokona przemiany potrzebnej, zresztą różne okoliczności już tak się złożą w życiu z pewnością, że go rozumu nauczą, a w końcu trzeba pozwolić młodzieży wyszumieć się. Jest w tem wnioskowaniu i prawda i fałsz. Prawdą jest, że przesycanie młodej duszy moralami jest wielkim błędem — lecz między ciąglem moralizowaniem a rozumem upomnieniem jest wielka różnica i jak pierwsze chybia celu, tak znowu drugie jest w wielu wypadkach niezbędne.

Prawdą jest, że natura jest dzielną pomocnicą w wychowaniu, ale zdać wszystko na nią samą niepodobna. Rousseau twierdzi, że dziecku należy pozwolić przybliżyć palec do ognia, ażeby się nawet spiekło, gdyż to doświadczenie znać będzie z pewnością więcej, aniżeli jakiegokolwiek napomnienia; niezawodnie, że samo doświadczenie i instynkt samozachowawczy będą kierować dzieckiem a jednak ani na jedno ani na drugie liczyć nie możemy, gdy na przykład widzimy dziecko, które wskakuje w ogień lub nierozumnie wchodzi pod dach tylko co zawalić się mający; naszą, jako wychowawców powinnością — otaczać, o ile się da, prawie niewidzialną opieką dziecko i młodzież, czuwać i strzedz od złego wszelakiego, być tym prawdziwym aniołem stróżem i duszy i ciała, jakiego sobie tak wspaniale każde wyznanie religijne wyobraża. Nasza myśl, duch nasz czuwa zawsze nad tymi, których kochamy; i wychowanków kochać musimy — inaczej nie bierzmy się do wychowywania, gdyż byłby to za ciężki, za wielką odpowiedzialność pociągający obowiązek, a za święty, za doniosły, ażeby go bez miłości spełniać było

można. Ona jedna zdolna jest zawsze i we wszystkim cudów dokonać. Z niej, z tej rzetelnej, pięknej, w dobrym gatunku miłości, płyną wszystkie uczynki dobre i dzieła częstokroć zdumiewające drugich, ale proste i za najzwyczajniejsze uznane przez tych, którzy mają duszę tej szlachetnej miłości. Ona to nie pozwala do niczego brać się bezdusznie, bezmyślnie. Ztąd to taka jest dobra, wyrozumiała, rozumiejąca, wnikająca we wszystko, czynna i twórcza. Na co nie znalazłaby miłość sposobu! Wierście mi, ci co kochają, nie mogą być apatyczni, ospali, niedbali — inaczej miłość ich jest, wedle słów św. Pawła „jako miedź brząkająca, jako cymbał brzmiający.” Wychowawca, który młodzież kocha, obojętnym być dla niej nie może — chyba że się sam co do siebie omylił i li tylko przez jakiś czas deklamował sam sobie uczucia i uniesienia pod wpływem jakimś wielkiego dlań osobistego znaczenia. Bo i tak bywa na świecie. Dr. Szokalski w swoich „Fantazyjnych objawach zmysłowych, twierdzi, że „mało jest ludzi na świecie, którzyby w błąd nie wprowadzali drugich, ale bezwątpienia mniej jeszcze takich, którzyby w błąd sami siebie nie wprowadzali.”

Odnosząc się zaś do trzeciego punktu wnioskania (solistycznej natury) opieszałego wychowawcy, do tego tak zwanego „wyzumienia;” to już stanowczo oświadczyć się należy przeciw racyi powyższego pojmovania. Bo i cóż to za „wyzumienie?” Jest to puszczenie wodzów wszelkim popędowi i zachęciom; nietrzymanie ich w odpowiednich korbach musi wyrodzić się w samowolę, częstokroć i w rozpasanie. I tak powstają owe wstręt wzbudzające „indywidua,” które nie znają hamulca dla swej chorej woli. Mówimy: chorej woli, gdyż chorą jest każda wola, której brak siły panowania, energii. Za tą chorobą idzie rozbijanie fantazyi, które stanowi żywną glebę dla rozrostu wszelkiego rodzaju wad i zbożeń natury.

Znamy mnóstwo przykładów, któremi poprzeć byśmy mogli moje twierdzenia; alboż to nie spotyka się takich jednostek, które fantazyją się unosząc (wiecznie jeszcze prawiąc o tej swojej fantazyji z przechwałką) uważają siebie za doskonałość, ba! zdolne pod względem wymowy i drugich jeszcze omamają, jaskrawymi barwami malując swoje doskonałości — a po prostu są jednostkami, które zatraciły piętno godności ludzkiej. Szumiały one za młodu, szumią w lecie życia i w jesieni — schodzą ze świata bez plonu dobrego, nie mając czasu żniwa ani jednego snopka uczuć rzetelnych ni czynów użytecznych, nie, prócz szumu i szumu całego życia — i częściej też do szumowin społecznych ich się zalicza. Lubią takie jednostki nazywać siebie „naturami fantastycznymi“ — ale od takich fantastycznych bron nas Boże. Życie zanadto jest poważne, ażeby je nieść na szumiącym rydwanie fantazyji — ono wymaga podstaw poważnych, rozumnych. Nie fantazyja, a przekonanie, zasada, ukochanie, idea dobra, prawdy, piękna, gruntem musi być działania, podwalina budowy życia. Na fantazyje zaś i szumienie, zwłaszcza dla nas — miejsca ni czasu nie ma i mówmy im odrazu: *Apage satanas! vade, retro!*

Kto od lat młodych począwszy nie umiał chwycić w ryzy wszystkich fantazyj, na manowce wiodących, ten niechaj się nie dziwi, gdy się z czasem znajdzie w wilczym dole, w którym nie masz nic prócz zaguby i śmierci ducha.

Wychowawca mistrzem być musi — albo partactwem zostanie. Słowo prawdziwego postępu dawnoby się już było *ciałem* stało, gdyby nie partactwo wychowawcze; idea, zawarta w drugiej prośbie Modlitwy pańskiej: „Przyjdź królestwo Twoje“ — dawno byłaby spełnioną, gdyby nie ono. Wszak idea postępu zawiera w sobie tylko dążenie nieustanne ku doskonałości; w odniesieniu do materji realizuje się ona i łatwiej i prędzej, w odniesieniu do ducha, trudniej i powolniej. Świat ducha potężniejszy bez porównania od świata materji niezawodnie trudniejszy jest do zbadania a ztąd i działanie w nim nie takie jak każde inne dla człowieka przystępne. Większego usiłowania wymaga, większego badania ofiar i zapomnienia częstokroć swego „ja“ — ale też tryumf na drodze tego postępu daje większe zwycięstwa, daje to, czego żaden materialny postęp nie da, daje *szczęście*. A któż z ludzi zaprzeczy, jakoby do szczęścia swego i swoich nie dążył? Tryumf ten ostatni jest cichy, nie czyni w świecie rozgłosu, laurami skroni wynalazców nie zdobi, ale bo też w świecie ducha, wszystko jest ciche. Czasem tylko, jako ogień Gedeona kruszy glinianą powłokę, w której jest zawarty i bucha nieśmiertelnym płomieniem.

Skoro tedy praca i każda działalność pedagogiczna (a więc wpływ) tak jest ważną i doniosłą, niechaj taki, któremu by opieszałość i niedbalstwo przeszkadzały w niej, usuwa się od obowiązku wychowywania a stara się zastąpić siebie kim innym, jeśli już na heroizm gorliwego czuwania i troski nad młodzieżą zdobyć się nie może. Dr. Szokalski, sumienny i uczciwy badacz duszy ludzkiej, twierdzi: „Wszystkie objawy umysłowe w młodocianym wieku są li tylko odzwierciedleniem myśli i wrażeń ludzi, przewodniczących jego wychowaniu!“ Zdanie prawdziwe, poparte spostrzeżeniami i studjami z natury — jakąż ogromną odpowiedzialność wkłada na wychowawców! Nie jest ona jednak zastraszającą tam, gdzie jest dobra wola, szczerze przywiązanie i gorliwość pedagogiczna, kierowana i rozsądkiem i rozumem, obok dobrego, podnoszącego, uczacniającego przykładu. Przykłady to bowiem zawsze najpotężniejsza z potęg! Były nie deklamować. Działać. Deklamacje zrażają, oziębiają młode serca, rozczarują — a każde rozczarowanie to klęska dla dusz, zwłaszcza dla młodej — której jeszcze doświadczeń brak i hartu, jaki wyrabia w człowieku życie i przygody jego. Ufni w moc dobrego mogą się zabrać do pracy wychowawczej — a ich własna wartość, ich zamiłowanie zawodowe, szczerze interesowanie się wszystkim, co się do tego zawodu i do

młodzieży odnosi będzie talizmanem udatnej pracy i zdrowych owoców i bujnego plonu ich starannego siewu. Mógł sobie Helveciusz wyprowadzić wszelką działalność ludzką na świecie z egoizmu jedynie, my ją wyprowadzamy z miłości tej, która ruguje wszelkiego egoizmu ślady, która szuka własnego szczęścia w szczęściu drugich — dokąd sięga państwo i rządy takiej miłości — tam nie będzie wychowawców niedbałych i lekceważących sobie swoje wielkie obowiązki i powinności święte. Kto o tem pamięta — tego jednostki i społeczeństwo błogosławią; ta praca wychowawcza, to mrówcza troskliwość, wytrwała a cicha. O dobrym wychowawcy można słusznie powiedzieć:

„Chociaż głośnemi czyny świata nie zadziwił,
„Robił więcej: — uszczęśliwiał!“

a nad to chyba większej, wspanialszej nie masz pochwały.

Streszczając, cośmy tutaj powiedzieli na temat trzeciego głównego grzechu pedagogicznego, przeciwstawiamy mu gorliwość, sumiennosc i staranność wychowawczą, jako cnoty główne, cnoty niezbędne wskazane nietylko przez katechizm wychowawczy i moralny ale i przez ewangelię obowiązującą zarówno wszystkie narody, ewangelię idei, wyrażonej w doniosłym hasle wszelakiego postępu ducha, które brzmi: „Przyjdź królestwo twoje.“

Z berłem, naprzód iść muszą pionierzy, a pionierami w dobrem muszą być wychowawcy i wychowawczynie — inaczej bowiem ludzkość postępu znać nie będzie.

POGAWĘDKA.

Pogawędkę dzisiejszą powinienem zacząć od przeproszenia szanownych czytelniczek za zrobienie im małego zawodu, który ostatecznie nie jest karygodnym, ażeby się nie miał ludzi nadzieją pewną uzyskania łatwego rozgrzeszenia. Wreszcie sam tylko na tem straciłem, albowiem tydzień ubiegły, czy dzień pewien w ubiegłym tygodniu, był przeznaczony na rozmowę z wami, piękne panie. Tymczasem wasz sługa do apelu nie stanął i pozbawiony został przyjemności rzucenia wam do uszka kilku słówek wiosennych.

Czy gniewacie się?

Może tak, może nie!..

W pierwszym wypadku przebłagałbym was wiązkami z róż, bżów i fijołków, w drugim, przy nadmiarze łask waszych, czując tem większy ciężar przewinienia. Nie masz jednak przestępcy, któryby nie chciał choć małej części winy na barki obce zrzucić; nie masz grzesznika, któryby, kłęcząc przed kratkami konfesyonału nawet, i oskarżając się w duchu przepisów katechizmowych, nie pomyślał sobie: a jednak, gdyby nie ta a ta okoliczność, nie taki a taki zbieg wypadków, grzech mój byłby mniejszy, mały, a możeby i całkiem go nie było...

Przewiniłem więc i ja.... ale, może i tegoby grzechu nie było, gdyby...

— Nie lilia?

— Tak! odgadłeś, dowcipny mój panie, czy czytelniczko przebiegła... Lilia, zawsze lilia winna jest wszystkiemu. Nieśmiertelny Juliusz nauczył nas chować się za jej szatę śnieżystą, niewinnością jej się okrywać i na nią wszelkie winy własne zwałać.

Choć w części przyznam się jednak do prawdy: Było trochę win lili, trochę grzechów moich. Wina lili w jej piękności leżała, moja w zaparzeniu się w jej piękność. Ale...

— Co? znowu się, winowajco, tłómaczysz?..

— Prawda! Widocznem jest tylko, że twierdzenie moje o przestępcy i grzeszniku jest mate-

matycznym pewnikiem. Zatem: była winna lilia, ja byłem winien — ale przesłiczne dni mieliśmy wiosenne, przesłiczne rozbudzenie się było przyrody, zieleń liści, wonie kwiatów, cienie i półcienie srebrnymi promieniami księżyca oświeconych gajów, szum krwi własnej coś arfianego miał w sobie, że rozmarzyć się można było i rozemdleć, rozkochać się nawet... w zieleni liści, w cieniach gajów...

— Zdradzasz się.

— Bez domyslnika!..

Zacieżko było mi przesiadywać między czterema ścianami wąskich mieszkań warszawskich niewypowiedziany wstręt uczulem do pióra, od kałamarza jak od jakiegoś potworu odwracałem się, a karta papieru, na której miałem hieroglify swych liter postawić, swoją trupio-zieloną bladeścią, niewypowiedzianą odrazę sprawiała. Sto razy podchodziłem do biurka i sto razy przez niewidzialną siłę jakąś odparty, wracałem.... „Tak szli do szturm Frankowie zuchwali, lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali...“ a doprawdy, że w danej chwili przelamanie przezemnie tego wstrętu do pisania, równałoby się niemal nieśmiertelnej szarży ułańskiej w wozie Samosierra.

Nie byłem Koziętulskim..

Melancholia dnia, niebo lekkimi obłokami pokryte, czasem złote strzały słońca wybiegające z tej mgły obłoków, dziwny smutek, rozlany w przyrodzie całej, który może nie był niczem innym, jak tylko usposobieniem duszy mojej, — nakazały mi na tydzień następny odłożyć pogawędkę z wami, boć to zresztą nie żywe słowo, biegnące wprost z serca, lecz rzucone na papier, litera po literze, z baczną uwagą, by to lub owo słówko za śmiałem nie było, ten a ten frazes jakiejś dwuznaczności nie posiadał w sobie.

Tak tedy pociągnął mnie urok dnia wiosennego. Oczywiście, nie nęcił gwar miejski, tłum uliczny; kroki mimowolnie kierowały się ku rogatom, lecz nie mając jeszcze stanowczego rozkazu przez myśl wydanego, płały się po chodnikach niepewne, niezdecydowane...

Zielone Świątki!..

Mija jeden i drugi wóz z tatarakiem, ożywecy zapach zielska dolatuje mi do nosa — staję i zaczyna się myśl budzić, a ten tatarak i zapach zaczynają do pamięci mojej kołatać, zarysowują się jakieś obrazy widziane bardzo dawno, i szepcą coś, coś mówią, śpiewają nawet...

Zielone Świątki!..

Rok rocznic w dzień ten uroczysty miasto wybiera się na Bielany. Spieszą pojazdy pańskie i daleko mniej wykwintne ekwipaże; szary tłum przeważnie pieszo podąża na górę Polkową, słychać już dźwięki harmoniki, wesołe przepowiednie zabrawę, kiedy to paręset huśtawek rozbija się, zakręca się młyny dyabelskie, w ruch pójda karuzele.

Słychać gwizd.

To parostatek do brzegu przybija, ubrany cały w zielone gałęzie brzoź, w długie szarfy zielone tatarskiego, skrzypiący od natłoku, na jego znajdujące się pokładzie, a śpiewny od skrzypiec i waltorni, grających poloneza za dziesiątkę, rzucaną do czapki muzykanta.

Oczywiście, na Bielanach będąc, niemożna nie odwiedzić starego Kamedułów kościoła, gdzie w podziemiach śpią mnisi biali, w którego ścianie spoczywają Wiśniowieckich serca, o którego mur wsparty, siedzi poważny posąg Staszycy. Wspomnienia mnichów, serc popiół, ruina posągu, mówią o niestałości losów i dziwnym naszym własnym uczuciu. Coś niby to kochamy... tak! kochamy, silnie nawet kochamy, ale cień, marę. Mara przeszłości porusza nas do łez i nieraz do porywów szlacheckich, ale widome tej przeszłości pamiętki spokojnie sobie gryzie ząb czasu, dla tych widomych, jakbyśmy serca, uczucia nie mieli, jakby ich zniknięcie nie zostawiało próżni żadnej żywej karcie historii.

Dziwnie smutny mi się wydał ten opuszczony posąg przyjaciela ludu. Dostrzegłem rysę jedną i drugą, jedno i drugie pęknięcie. Niejednokrotnie dzienniki nasze nawoływały społeczeństwo do zajęcia się odnowieniem Staszycowskiego pa-

mnika, — ale czy to nawoływać potrzeba, czy nie dość jednego słowa: pomnik psuje się!

— Brak u nas...

— Pieniędzy...

— Przerwałeś mi, łaskawco — aleś w cel nie uderzył. Nie to wcale powiedzieć chciałem. Pieniędzy?... Czy ja wiem, mamy, czy nie mamy ich pod dostatkiem? Lecz dużo u nas jest lekkomyślności, która Bóg wie na co pozwala nam grozić niejednym wyrzuceniu.

Spojrząc na opuszczony pomnik Staszycy, a później udać się na plac wyścigów i przy okienkach totalizatora posłyszeć brzęk monety — to się doznaje wrażeń, jakby kto ostrzem po szkło pociągnął. Gdyby te wszystkie pieniądze, rzucone przez tłum nieogledny i graczów przygodnych na takiego a takiego bieguna — w inną stronę skierowały się: inną by szatę Staszycowski pomnik wziął na siebie i żadnych utyskiwań, żadnych nawoływań do ofiarności nie byłoby. Znam pewnego pana, który stale kilkaset rubli podczas trwania sezonu wyścigowego przegrzywa, lecz powiedz mu o Staszycu, a da ci odpowiedź:

— Prawda, los mi nie sprzyja, wiem zawsze, że przegram, nie wierzę nawet w wygranę, ale, widziałem... czuję zawsze pewną *sensację*, gdy się zbliżam do okna totalizatora.

Sensacja, — nerwy... Oto co nas dzisiaj gorącej i jeszcze nie dozwala spokojnie i rozumnie spojrzeć przed siebie.

Lecz przerwałeś mi, łaskawco, a chciałem powiedzieć, że brak u nas stowarzyszenia, którego by celem było zachowywanie zabytków przeszłości. Stowarzyszenie takie, za zezwoleniem władzy powstałoby łatwo; powaga celu poruszyłaby nasze uczucia, uczucia zaś wylałyby się nazewnątrz w postaci kopiejek. Takie stowarzyszenie wybrałoby z grona swojego członków kompetentnych i wysłało ich do zwiedzenia kraju, do zebrania wiadomości o okolicach różnych, potrzebujących naprawy, odnowienia lub podtrzymania. Przeraziłyby nas.... ruiny

Trudno! lecz co można jeszcze, ocalić potrzeba.

Chwałą się Niemce zamkami swemi, których wieżycy i baszty dumne swe czoła podnoszą i patrzą w błękity i kąpią się w nurtach Renu i dobrze zachowanymi zwaliskami swych murów, mówią o... panach feudalnych vel zbójcach przydrożnych. Nad Wisłą i innych rzekach królestwa nie brak zwalisk podobnych, tylko miast reubera szlachetniejsza postać z gotyckich okien wyjrzy, tylko powój szlachetniejszych wspomnień oplata te nadwiślańskie mury. Rzeklibyśmy, że mniej byłby piękny Ren bez tych gmachów szczyrbatych, dla czego ma być Wisła piękniejsza bez cichych ruin Kazimierzowskiego zamku, pięknych murów Janowca? A Chęciny, Łęczycę, Liw, Bodzentyn i tyle innych pamiątek, rozsypujących się w proch i w pył?

Komisja historyczno-archeologiczna niemało miałaby trudu w sumiennym sporządzeniu spisu tych wszystkich zabytków przeszłości, boć do nich nietylko ruiny zamków wchodzą, są kościoły i kaplice i zapomniane groby na starych cmentarzach i ciekawe dzieła sztuki średniowiecznej, na strych niejednej plebanii rzucone.

Niezmęczonym niszczycielem jest czas, iż dziwną wytrwałością prowadzi pracę swoją. Spieszyć się trzeba, bo aczkolwiek on na lata długie, na wieki nieraz robotę swoją rozkłada, — minuta za minutą, sekunda za sekundą, wyjmując kamień po kamieniu, do szczyrbu szczyrb dokłada i gryzie z okrutnym spokojem wrota kamienne, strzelnice obramowane granitem, ściany grubości niezmierniej. Jak smakosz wytrawny, spijający kroplę po kropli drogiego nektaru, tak on językiem deszczów zlizuje barwy fresków starożytnych, oddechem wiatrów strąca kapitele kolumn, czasami tylko, jakby w przystępie szału, ognistą strzałą piorunu pruje pierś granitową murów.

Odbiegłem trochę od treści zaczętej rozmowy...

Urok wiosny, pragnienie jakiegoś rozsypania się w przyrodzie, odpędził mnie od kałamarza i obowiązkowej pogawędki z wami. Tym razem

nie nęciły mnie Bielany — zajrzałem tam na chwilę, bardzo, bardzo rano i pierwszym lepszym pociągiem ruszyłem ku góróm Świętokrzyskim...

Jest to jeden z najpiękniejszych zakątków ziemi naszej. Olbrzymie drzewa świerkowe, zdumiewającej grubości, biegną od spodu do samego niemal szczytu Łysej góry, na której w dorocznym dniu św. Jana odbywają wiec swój czarownicy i marzą o figlach, jakie ludziom wyprawiać mają. Czarownicy nie spotkałem żadnej, nie była to chwila ich zebrań — ale — czarodziejki — kto wie, czy nie było ze mną i przy mnie. O tem jednak — pst! To nienależy do opowiadania, choć może należy do jednego z najciekawszych szczegółów mojej wycieczki...

Począwszy od Suchedniowa (stacja kolei) najętym woźnicą ku Świętemu skierowałem się Krzyżowi. Równiny mazowieckie pozostały za mną, krajobraz łałować zaczął, leśne rozdoły, z wijącymi się rzeczками i przezroczytymi szymbami jezior wabiły wzrok, zapraszając do siebie w cienie lip i świerków i krzewów osypanych kwiatami. Droga bita ale tak źle ubita, że wycieczka chłopskim wasągami nie należy do jednych z przyjemniejszych. Mało się jednak dba o tę wygodę, będąc otoczonym zielenią drzew i krajobrazem przeslicznym.

Dojeżdżając do Wzdolów, wsi mającej wiorst parę długości, ze wzgórza na który pieszo się weszło, dając folgę spracowanym koniom — odkrywa się piękny gór łańcuch. Zdała już, we mgłę majaczące kościół z wieżycą — to Święty Krzyż... Wóz w dół zjeżdża, kościół znika, łałgodne gór wierzchołki chowają się za siebie, przejeżdżamy śliczne Wzdolę ze starym kościołem i po chwili, po znacznej pochyłości drogi toczymy się ku Bodzentynowi, dawnej rezydencji biskupów kieleckich.

Ruiny zamku bodzentyńskiego witają nas zdaleka — smutne ruiny! A jednak są ludzie, którzy pamiętają uczyt biskupie, wydawane w salach zamczyska, dobrana muzyka grała, wiatr nie hulał w pustce rozwalin, ani bocian nie klekotał z wysokich ścian opuszczonego gmachu.

Od Bodzentyna dwanaście wiorst mamy do lichej, podgórskiej miejsciny, Słupią zwanej. Na szczyt góry Świętokrzyskiej można, gdy sucho, z trudem wyjechać, ale stokroć przyjemniejsza jest wyprawa piesza, trwająca do trzech kwadransów.

Kościół Św. Krzyża z klasztorem benedyktynów niegdyś, jest jednym z najstarszych zabytków u nas. Nawiedzał go już, jako poganin, Jagiełło; podczas ostatniego napadu Litwy, przyszedł mąż Jadwigi, uwiózł z sobą drzewo Krzyża Świętego i wrócił go dopiero kościołowi, gdy czło swoje omył chrztem świętym.

Zakrótka to była moja wycieczka, ażebym mógł szczegółowo coś o kościele i znajdujących się w nim pamiątkach napisać. Inny cel miałem, który mi się w znacznej mierze powiódł: chciałem się skapać — w przyrodzie, oddać się samotności marzeń, zanurzyć się w cieni lasów, być tylko sam z sobą, z myślami, mojami i — marzeniami trochę. Mimo to nie wróciło się z pustymi rękami, lepiej powiedzieć, z pustą teczką podróżną. Marzenia w rymach wylały się na papier, które da Bóg, zebrane w całość jedną — w postaci książki... rojenia wiosenne jesienią przypomną.

Deszcz zmusił mnie do szybszego nad zamiar powrotu.

Warszawa!...

A co w niej słyhać?...

Zaczepiam jednego to drugiego ze znajomych sobie przechodniów i pytam — co słyhać!

— Hiszpanie pod Sant-Jago kropnęli amerykańców!

— Do widzenia, szanowny panie — uchodzę, umykam, uciekam.

— Słyszałeś, że odbył się pojedynek?

— Słyszałem.

— Mówią, że twój wyjazd w góry był mistyfikacją —

— Może.

Odszedłem, zostawiając za sobą ciekawe spojrzenie... przyjaciół.

Mój Boże — przywitano mnie nowiną o zwycięstwie hiszpańskim.

W ostatnich czasach, mili goście nawiedzili mury naszego miasta. Jednocześnie prawie przybyli: ks. Józef Londzin, znany działacz na Szlązku austriackim, p. Jan Snieżek profesor gimnazjum w Cieszynie i p. Napieralski, redaktor „Katolika.“ Gości przyjmowano w jednym z domów prywatnych, zabawa o najserdecznym nastroju przyciągnęła się do późna w nocy.

Ale czy słyszeliście, szanowni czytelnicy, o nowej wędrówce narodów? Nie byłem świadkiem tego wypadku, bo nie byłem w dniu danym w Warszawie, ale od czego Kuryery, z których bardzo wiele rzeczy niebywałych dotąd dowiedzieć się można.

Jeden z numerów „Kur. Codz.“ bardzo dowcipnie zaczął, w dziale „Z chwili“ wymowny swój artykuł. Działo się to w niedzielę, na placu — oczywiście wyścigów.

„Tysiące ludzi najrozmaitszej „kondycji“ cisnęły się, emocyonowały jakby na magiczne zaklęcie — a wszystko to bez żadnego słusznego powodu.

Wyścigi odbywają się przecie często (za często nawet) i mają swoich zwolenników, lecz nie powodują wędrówki narodów, ni „poruszenia z posad ziemi.“ Zkądże tedy owo nadzwyczajne zainteresowanie? Czy urok wyjątkowych wrażeń sportu, występ znakomitych a nieznanych szermierzy? Uchuwaj Boże! Ścięły się te same konie, które widziane już nieraz — tylko rozgrywano nagrodę wysoką, bo w jednym biegu — 15,000 rs.“

Dziwna, zaiste, psychologia tłumu!

Piętnaście tysięcy wygra p. X. albo Y. nie żaden z uczestników — gapiostwa, a jednak... taka suma ma urok, łechce ciekawość kto wygra: X, czy Y?... O głupoto ludzka, ty jesteś niezmierną jak dno oceanu!

Mamże na tym wykrzykniku zakończyć pogadankę?...

Niebo, błękit, zachodzące słońce w oczy mi spoziera... Przez Ujazdowskie aleje snują się tłumy, na miękkich resorach chwieją się landa i karykle, barwią się stroje kobiet, chwieją się tęczę pióra u kapeluszy, słyhać szepty, rozmowy, widać uśmiechy...

Wiosna!...

Potrzeba i nam się uśmiechnąć i — coś szepnąć może.

W zaprzeszły poniedziałek artysta teatrów warszawskich Bolesław Leszczyński obchodził trzydziestopięcioletni jubileusz służby swojej dla sceny. Z długiego tego ciągu lat, ówierć wieku przesłużył na scenie warszawskiej i niejedną niezapomnianą a uroczą chwilę dał publiczności.

Przed wstąpieniem na scenę warszawską, na której po raz pierwszy pojawił się we Wrześniu r. 1866, jako Oskar w dramacie p. t. „Trzydzięści lat czyli życie szulera,“ Leszczyński artystyczną karierę swoją rozpoczął w Wilnie.

Talent naszego artysty rozwijał się szybko; ulubionem polem jego pracy był dramat. Występował w sztukach Kondratowicza, które swego czasu, jako utwory sceniczne, cieszyły się wielkim uznaniem wilnian. Wówczas to i Kasper Karliński entuzjazyzmował widzów, który — jeżeli się nie mylimy, a zdaje się, że się nie mylimy, — nigdy światła kinkietów na scenie warszawskiej nie widział.

Do Warszawy przybył Leszczyński w wyjątkowo dobrej chwili dla sztuki teatralnej, która, zostając pod głównym zarządem ówczesnego prezesa Muchanowa, odpowiadała godnie założeniu swojemu. Wprawdzie, że były wtedy i siły, które mogły się pierwszorzędnemu teatry europejskie poszczycić, dość wymieni: Królikowskiego, Żółkowskiego, Modrzejewską, Rapackiego i Romanę Popielównę.

Jakkolwiek na kamieniu talenty się nie rodzą, na rozwój ich bezsprzecznie wpływa wysokie stanowisko sztuki. Utalentowani artyści nie tracili sił swoich na krotoczwile z zagranicznych repertuarów wzięte, krom lekkich komedji i farsesołów, nacisk główny kładziono na dramat! To też role takie, jak Cyda, Hamleta, Ruy Blasa, Don Cezara de Bazan, Antoniusza, Kupca

Weneckiego, Syna Puszczy i Karlińskiego, były perłami repertuaru jubilat. Zapewne, że „Starzy Kawalerowie“ Sardou mają niespożyta siłę w sobie, ale Leszczyński w dzień święta swojego, jako Otello lub król Lear wystąpić był powinien. O grze mistrza takiego mówić nie będziemy—nie chcemy nawet wspominać o entuzjazmie publiczności. Leciały kwiaty, wieńce i podarunki, teatr grzmiał od oklasków, a jubilat mógł w myśli swej szeptać: O, miasto wdzięczne, dla ciebie nie żal trudu było i potu czoła...

Życzymy ze swej strony szanownemu jubilatowi, ażeby doczekał półwiecznego jubileuszu; życzymy tym wszystkim, którzy laurów Leszczyńskiemu zazdroszczą, ażeby je zdobyli taką pracą i poświęceniem, jaką on je zdobył.

??

Stanisław Nałęcz - Ostrowski.

Idealy niewieście poetek polskich

Studjum etyczne-literackie.

(Dalszy ciąg).

Z uczuć cichych i rzewnych, do jakich skłonna jest dusza niewieścia, zaznacza nasza poetka tkliwość serdeczną, wdzięczność zapominającego urazy, a chowającego pamięć jedynie doznanego szczęścia serca: w chwilach wspomnień—mówi poetka—zacierają się pamięć bólu, jaki nam zadano, „tylko w piersi budzi się taka *wdzięczność tkliwa* dla tych, co szczęście nam dali...“ Piękna to cecha serca niewieściego, która ją sercom anielskim podobnym czyni. Następnie skłonność do cichej a tęsknej i nieuchwytniej zadumy, do marzycielstwa; w smętny dzień jesieni, kiedy mgła lekka wiesza się między drzewami, a w całej przyrodzie rozlewa się dziwnie słodka a cicha melancholia, wówczas—mówi poetka:

„Będą jedne dusze marzycielskie, smutne
Modlić się zadumą cichuchną.“

Współczucie ku cudzemu sieroctwu widzimy w wierszu „Modlitwa wigilijna.“ Cała rodzina zebrana u stołu przy wieczerzy, łamie się oplatkiem i weseli cichą radością, że są wszyscy, że nikogo do grona rodzinnego nie braknie. „Tylko w sercu matki siwowłosej cichy się żal budzi“ na myśl, czy znajdzie również wszystkie swe dzieci przy sobie w następnym roku... Przychodzi jej myśl o tem, ile to w ten dzień uroczyście sierocych matek, nie widząc przy swym boku dzieci, oplakuje straty i swoją samotność... Modli się więc tak do Boga:

o Paniel!
Niech dziś te matki i wdowy, co płaczą,
Swoje stracone szczęście i kochanie
Choć w snach zobaczają i...“

Tęsknota, tak często owładająca sercem kobiety, jest według naszej poetki „ramion ludzkich wdał wyciąganie“ ku jakiemuś ideałowi prawdy i piękna, do jakiegoś świetlanego i wyższego niż ziemskie życia, — tęsknota wreszcie „wiedzie do Boga najpewniej, najprościej, srebrną gwiazd drogą wskroś nieskończoności.“

Pobożną winna być kobieta i na skrzydłach modlitwy wznosić się ponad padół łez i grzechów tędy, gdzie „oczy szukają bożych aniołów w lazurze...“ Wielką jest moc modlitwy — a duszy zsyła ona pokrzepienie i ochłodę... Gdy się modlimy, mówi poetka, „*chłodzące krople rosy* czujemy na czole“ i zapominamy wszystkich trosk i bólów naszych

Z życia trosk drobnych i zabiegów powszednich, mających na celu życie doczesne, należy choć czasami podnieść się duchem i sięgnąć wyż-

szej i promienniejszej atmosfery, wcielić w życie świętą prawdę Zbawiciela. Porównując życie ludzkie do krzątania się mrówek wśród mrowiska, poetka boleje nad tem, że tyle sił wielkich nieraz zużywa się na dopięcie marnych i drobnych celów, w walce życia codziennej. Nigdy—mówi poetka—w dążeniu wyniosłem ku ideałom, w wielkiej a świętej walce duchów „nie zmęczyło się tyle ludzi na śmierć,“ tyle serc nie pękło, co w tem „poziomem krzątaniu się życia...“ Wola wreszcie z żalem:

„Gdyby *górnieszej* chociaż trochę drogi!...
„*Podniesionego* chociaż trochę szlaku!...
Gdyby po nad tłum ten, dla żądź swych ubogi,
„*Chrystusowego* podnieść sztandar znaku,
I zebrać siły nędznie marniejące,—
Ludzkość po gwiazdach zaszłaby na słońce!...“

Opiera więc Ilnicka charakter kobiety na trzech głównych cnotach chrześcijańskich: wierze, nadziei i miłości. Na nich, jako na trwałe podstawie rozwija się ten delikatny i czuły kwiat, jakim jest dusza kobiety. Jako roślina pnąca się w górę, jak powój, oplata serce kobiece wybranego mężczyznę, otula go pieczołowitością tkliwą swych splotów delikatnych, upiększa go swym kwiatem i wybiegłszy wysoko w górę swą koroną, wieńczy jego czoło. On ją podtrzymuje swą krzepkością dębowa, — ona owija go w swe zwoje kwitnące... A nietylko jest jego ozdobą i słodyczą: nieraz się zdarza widzieć w ogrodzie, jak bluszez lub powój siłą splotów swoich upaść nie daje złamanemu drzewku lub tyce, która wprzód sama pnąca się podierała roślinę, —tak nieraz i kobieta bywa oporą moralną mężczyzny. Kończąc wreszcie porównanie: jak z kwiatu unosi się w górę woń jego, tak też z serca kobiety winna unosić się czysta a rzewna modlitwa ku niebiosom.

Takim jest ideał niewieści Maryi Ilnickiej. Jest wśród utworów Deotymy wiersz, w którym poetka zestawia ze sobą dwa powołania, dwie główne drogi w życiu kobiety. Oto są te słowa:

„Smętna i ciężka jest kobiety dola,
Musi wybierać z dwóch skalistych dróg:
Albo ją czeka rodzina niewola,
Albo więzienny zakonnicy próg.“

Wprawdzie—dodaje poetka — i domek własny i cela klasztorna „niekiedy silnie w słońcu szczęścia wrą,“ a słońcem tem, które ozłaca troski powszednie żywota i mroczną głęb celi rozjaśnia,—jest *miłość*, jednak „burza troski“ zamąca to szczęście i równowagę miłość. Widzimy następnie dwa obrazki rodzajowe, przedstawiające kolejno każdy z dwu wymienionych losów kobiety: oto zamigotał dziewicy pierścien ślubny—jako godło i zapowiedź cichego odtąd szczęścia wespół z ukochanym; rzeczywistość jednak zawodzi marzenia: „nie dla niej odtąd świt spokoju lśni“ — dodaje poetka, poczynają się bowiem dla niej bezsenne noce nad kołyską dziecięcia spędzane, troska i niepokój o zdrowie i przyszłe losy niemowlątka, a „obłok łez tkliwych odtąd zaciemnia jej dni.“ Jednak i cela klasztorna—taka cicha i pełna spokoju na pozór — nie zawsze da szczęście kobiecie. Jeśli, przestępując próg tej celi, kobieta nie zupełnie zamarła w sobie dla świata, jeśli w głębi jej duszy brzmi i odzywa się jeszcze niekiedy echo życia dawnego, a serce drży i zatętni niespokojnie przy tem echu — to „może za światem obudzi się żal?... Próżno już wtenczas przy okienku wzdycha...“ a niezłomna przysięga, zamiast jej przynieść ukojenie, cięży wówczas jak kajdany—„jak stal.“

Jest jednak pośredni los, który nie wkładając na kobietę więzów „rodzinnej niewoli,“ nie usuwa jej także ze świata po za klasztorną kratę,—los „kanoniczek—kapłanek swobody.“ Tam—mówi poetka — „*serce kobiet dla cierpiących świeci*...“ i owa właśnie gotowość ukajania bólów i łagodzenia cierpień cudzych jest najświętszą zasługą kobiety na ziemi.

W innym wierszu, mającym w tytule trzy cnoty teologiczne, Deotyma składa hołd i cześć oddaje „gronu tych istot z ukrycia,“ które całą gorączkę życia bez żadnej trwogi mogą wychylić „na Oliwnej strapienie górze...“ i z temi słowy zwraca się ku nim:

„Cześć silnej cierpienia córzel!
Cześć tej matce świętych czynów!
O cześć Miłosierdzia siostrzel!...“

Tam, gdzie ból gości, tam gdzie krwawią rany serdeczne, gdzie cierpienie wyjada serce, tam ona „jako gołębia“ rozpościera skrzydła i tości nad wszystkimi cierpiącymi i zbolalymi, a wówczas w jej „śnieżnem sercu“ świeci Duch Mądrości i Miłości świętej. Wstępując do każdego zakonu, musi niewiasta pogrzebać owo serce „pod kamiennym murem—jak w grobowcu“ i zachować powinna „stan niewinności biernej...“ Wielką jest zaiste ofiarą serca umrzeć zupełnie dla świata i czuć za życia śmiertelny chłód mogiły... większą jednak jest ofiara Szarych Siostrzy: nie do grobu — gdzie chłód, lecz i spokój gości, ale do *piekła* pełnego mąk i boleści zstępują one za życia, a płakać im nad cierpieniem niewolno, „choć serce z żalu pęka“ —

„W czole musi lśnić pogoda,
Bo jeśli jej zadrży ręka
Jakże kielich pociech pada?...“

„Czem jest niebiańska, czem ziemską kobieta?“ stawia sobie pytanie poetka — i oto za przewodem anioła, „który zwan Ariel“ i poety, który „ptakiem zwan w niebie, Malczewskim na ziemi,“ idzie „przez ciemne kraje marzenia,“ aż spotyka dwa obrazy, które przedstawiają owe dwa szukane przez nią ideały niewieście: na jednym widzi przy rycerskim młodzianie „cudo urody niewieściej,“ której wdział „pod burzą tajemną się siania z łez do uśmiechu, z szczęścia do boleści...“ „To Marya moja“ —mówi jeden z przewodników do poetki.

... jej radość nie trwała,
Bo ideału w śmiertelnym szukała;
To córka ziemi, to wśród koleców róża.“

Lecz anioł odwraca uwagę poetki od lica Maryi i wskazuje jej „inną postać tajemniczą,“ dziewicę grającą na organach, na jej cudnej twarzy „natchnienie jednoczy dziwną powagę z dziwniejszą słodyczą,“ na ustach igra uśmiech smętny, a spojrzenie ma prorocze i tak czyste i święte, że przed niem „wszystkie szatany w głębiach otchłani z drzeniem się ukryły...“ Wskazując na nią, mówi anioł przewodni do poetki:

...Oto ma siostra, Cecylja:
Boleść jej nikła—zachwył wiecznotrwały,
Bo ukochała wieczne ideały;
To córka niebios,—to wśród cierni lilja!“

Dali więc obaj przewodnicy poetce odpowiedź na zagadkowe dla niej dotąd pytanie, i odtąd zrozumiała ona, że każda kobieta — i niebiańska i ziemską —

„Kaźda z nich piękna, każda męczennicą
Na tronie serca albo na ołtarzu...“

Drugim takim wzorem duchowym, ideałem „kobiety niebiańskiej“ dla poetki naszej jest św. Teresa.

Jeszcze jeden wzór kobiety, która życie swoje poświęca Bogu, widzimy w wierszu p. t. „Widzenie majowe.“ W majowy świeży poranek, na ganek dworu wiejskiego wybiega młodzieńskie dziewczę „z duszą anielską, z licem aniołka“ i plotąc fijołki do wianka, napawa się świeżością chwili porannej. Lecz oto błysnął z pod mgły kościółek wiejski, zabielały ściany świątyni, a w górę wystrzela wieża klasztoru Maryanitek. Dziewczę z tęsknotą spoziera ku otwartym drzwiom kościółka i postanawia zaniesić doń swój wianeczek fijołkowy i złożyć na ołtarzu Maryi. Dusza dziewczęcia z rozkoszą ucieka do

wnętrza pełnego ciszy klasztoru—„bo jakże szczęsne być muszą tego klasztoru mieszkańci!...“ Chciałaby dziewczeczka stanąć w dzień niedzieli między niemi w chórze i śpiewając pieśni pobożne, „pełnić to na ziemi, co w niebie pełnią anieli.“ Tymczasem, zanim rosa zwilży i odświeży fijołki w wianku, klęka dziewczę ze wzruszeniem na ziemi i śpiewa litanie do Najświętszej Panny. Rok upłynął. Nadszedł znów maj i zabłysnął świeży poranek wiosenny, jak przed rokimi; cicho i pusto w wiejskim ustroju, — „ale na kościelnym ganku jeden głos więcej brzmi w chórze...“

Przejdźmy do „ziemskiej kobiety.“ Przedewszystkiem powinna być kobieta prawdziwie i głęboko wierząca. „Niech jak Pan w niebie, wiara na ziemi Trójcą się stanie“—mówi poetka: „wierz w Boga, w ludzi i w siebie.“ Wiara wzbudza pobożność,—pobożną też winna być kobieta i w modlitwie szukać pociechy, nadziei i pociechy, modlitwa bowiem „w szczęściu—jest tem szczęściem samem, w cnocie—wytrwania potęgą, w cierpieniu—pociech balsamem, w grzechu—poprawy przysięgą.“ Ale nie tylko modlitwą słowa i myśli modlić się powinna kobieta:

„Nie idź tą modlitwy drogą,
Gdzie jej tony same brzmią;
Nieba słuchać jej nie mogą,
Jeśli czyn nie zabrzmi z nią.“

Czynem—a więc pracą powinna się modlić niewiasta, pracą spokojną i cichą, pracą skrzętną zabiegliwej gospodyni i pani domu. Zamyśloną o celu życia niewiasty w noc wigilijną św. Jana, poetka jawi się wśród zbóż „radosna i hoża, modrym *lmu* kwiatem zwieńczona Rzepicha, przez fale nici przesuwająca czółenka“ i tak śpiewa dalej:

„Ja nie znalazłam waszej wiary,
Lecz rozwarłam gościom próg,
Miodem napelniłam czary,
I Aniołów zesłał Bóg!
Przedłam osłonki na rany,
I dla Gopła żagli zdrój;
A los szczęścia niespodziany
Uprzął mi królewski strój!
Prządkom chwile ptakiem leca!...
Życie mija niby sen...
Chcesz-że znać drogę kobiecą?
Idź tam, kędy kwitnie len.“

Dalej wzór pracowitego dziewczęcia widzimy w wierszu „Ptaki.“ W domku siedzi przy okienku dziewczę „w srebro i w jedwabne kwiaty wyszywa białe ornaty, wetknięte w białe krosienka.“ „Cisza i praca są żywiołem kobiety,“ mówi poetka, „życie kobiety powinno być pieśnią,“ pojętą w jak najobszerniejszym słowa tego znaczeniu, jako harmonia w czynach i w życiu. W innym wierszu Deotymy kobieta pieści fijołki—„godło cichości, zgodnej z losem woli.“

Serce — to najcenniejszy skarb kobiety. „kobieta bez serca“ — mówi poetka—„jest jak ptak bez skrzydeł—w sercu jest życie,“ w sercu się rodzą uczucia, bez których „tęskno wśród wiedzy ogromu, wśród skarbów chaosu, wśród sławy kadzidel.“ Kobieta przedewszystkiem żyje sercem i uczuciem, którego jej nie zastąpią ani umysł rozwinięty i lotny, ani wiedza, ani wyobraźnia. „Gdy uczucie chce stać się rodziny podstawą“—mówi poetka — „natenczas *miłością* się zowie“ — uosobieniem której jest dla naszej poetki Barbara. Piękną jest „pieśń dziewicy,“ w której poetka, zestawiając losy rycerza, którego pierś wiecznie na ciosy jest otwartą, z losem rolnika, który drży przy myśli o nieurodzaju, z losem matki, płaczącej nad kołyską dziecka, mówi w końcu, że „najszczęśliwszy dziewczę los“ i taką piosnkę wkłada w usta dziewicy:

„Gdy ma igła jedwab plecie,
Chwil przyspiesza srebrny strzał;
 *Dzięki Panie, żeś kobiecie
Świątą miłość pracy dał.*

Być pieszczoną w rodzin gronie,
Rajskiej strzechy kochać próg,
Mieć *żar w sercu, piosnkę w tonie,*
To mi tylko kazał Bóg.“

W wierszu p. t. „Miłość najwyższa“ widzimy młodą oblubienicę, która wdali od oblubieńca przetrwawszy mężnie wszystkie pokusy i próby, umiera wierną swemu przeznaczeniu. Opowieść brzmi tak: Był król młody, potężny i piękny,—„wielkiej czułości i mądrości wielkiej,“ a miał oblubienicę młodą i niewinną, która „z dziecięcą pogodą niosła mu uległość cześcielki“ i odpłacała mu za jego miłość tklivem i głębokim uczuciem. I byli oboje szczęśliwi i kochali się nawzajem i nawzajem ufni ku sobie; lecz oto w serce oblubieńca wstąpiła wątpliwość i myśl niepokojąca, czyli nie dlatego wierną mu jest oblubienica, że tylko z nim jedynym przebywa? Lecz—gdyby przyszło do próby—gdyby on był od niej daleko, czyby ona pozostała wierną nieobecnemu również, jak dziś mu jest wierną? Odegnął zrazu tę dręczącą wątpliwość, nie chcąc poddawać próbom serca swej narzeczonej, lecz zwyciężony w końcu wciąż powracającym podejrzeniem i niepewnością, rzekł do oblubienicy: „Choćbym ja odszedł, czyż wierność zostanie?“ Na to pytanie odpowiedziała mu ona „tylko spojrzeniem zdumienia.“

„Bo tak jej serce było nieskalanie,
Że zdrady nawet pojęcia nie znała!“

A spojrzenie owo tak było jasne i czyste, że młodzieniec uspokojony co do swoich obaw, z ufnością odszedł i po raz pierwszy samą jedną dziewczę zostawił. Zaledwie że zdołała przytomnić sobie w umyśle ową rozłąkę z ukochanym, gdy słyszy głos jakiś i słowa: „Nieszczęsna! opuścił ją,“—i widzi zdala „smętnego młodziana, który lśni ponętą tajemną, ale i przeszywa trwogą.“ Pragnąc się ukryć i nie spotkać go więcej, szuka dziewczica schronienia i ujrzawszy grób otwarty na uboczu, skrywa się do wnętrza. Lecz z za grobu dolata ją znów tenże głos, który żali się nad smutnym losem nieszczęśliwej: „choćby chciała czekać lat miliony we łzach i tęsknocie, czekać będzie napróżno, bowiem narzeczony jej już nie wróci.“ Tu na chwilę w jej duszy błysnął „przypuszczenia strzał:“ „A gdybyż nie wrócił miał“ — i ta myśl tak ją uderza, że traci na chwilę przytomność. Otworzywszy oczy, widzi blask ogromny w grobie: całe dno grobu zasiane w klejnoty, a na jej ramionach błyszczą perły i kwiaty. A głos z za grobu śpiewa, że te perły, te róże, to tylko „cień złoty przepychu, co rozpromienia pałac zaklęty,“ którego panem jest ów tajemny młodzieniec, nęci ją i wabi ku sobie — do swego czarownego pałacu, przyrzekając jej w nim nieznaną dotąd rozkosz: „wprawdzie to państwo nosi pana piętno,—moja kraina jest tak jak ja smętną, ale i smętność urokiem...“ Tu, chcąc łzę otrzeć, nachyla się młodzieniec nad grób, a dziewczica, wzrok podniosłszy, widzi „tak bolejącą i tak czarującą smętność oblicza,“ iż żal ścisła jej serce i traci powtórnie przytomność. Gdy otworzyła znów oczy, widzi w grobie obok siebie młodzieńca, który cucił ją z omdlenia, lecz ujrzawszy lekki ruch jej dłoni, którym jakby odsuwała go od siebie, zaczął rozpaczliwie ją zaklinać, by nie odganiała go w samotności i rozpacz jego, który jest jej jedynym przyjacielem.... przyczyną smętności jego jest niepokój przed oblubieńcem dziewicy, który go ściga i potępia,—„niech więc połączy jedna zemsta błoga, ofiary jednego wroga, co mnie ciemieży, a opuszcza ciebie! Przytem tak błagalnie patrzy w jej oczy—i widząc ją powstającą, sądzi ją już być swoją—gdy dziewczica, zachwiałwszy się, krzyknęła: „Nie, on powrócił!“ i z tym okrzykiem padła martwa. Zresztą, dziewczica ta jest u poetki alegoryą ludzkości.

Wzór matki widzimy u Deotymy w Cydjo pie, która „zawszy obficie gorzkimi łzami grobowiec małżonka, szuka pociechy, czcząc bogi i czuwa u świątyni przysionka nad losem rodziny drogiej.“

Widzimy dalej Joannę d'Arc—wzór dziewicy-rycerki, o której tak mówi poetka:

„Chlubnie, gdy kobiece serce
Władcą rodziny się staje;
Lecz chlubniej, gdy całe kraje
Los swój winny bohaterce...“

Widzimy również Chrzanowską na murach Trębowlu... drugi wzór niewiasty-bohaterki...

Łzy nie powinna się wstydzic niewiasta, łza bowiem „jest stalaktytem, który niebios sklepienie z ziemią jednoczy.“

Tak więc najwznioślejszym powołaniem kobiety, według Deotymy, jest zupełne poświęcenie się Bogu i bliźniemu, pełnienie uczynków najświętszego miłosierdzia chrześcijańskiego, z zupełnym zaparciem się i zapomnieniem siebie. Lecz i światowa kobieta ma wysokie posłannictwo jako matka rodziny, byle gorliwie i ściśle wypełniała przywiązane do stanu obowiązki i była przytem pracowitą i pobożną. Zawsze i wszędzie powinna iść kobieta za głosem serca, który bywa często wprost jakby niebios natchnieniem.

(Dokończenie nastąpi).

M G L A.

Utkana z śnieżnej bieli,
Zrodzona z wód topieli,
Srebrna się wznosi mgła,
Całunem swym owiewa
Szumiące tęsknie drzewa,
Dosięga niebios łą.

I swą otula szatą
Zieloność łąk bogatą,
Rozlewa wkoło cień;
Perłową strojnie rosą,
Swe główki kwiaty wzniosą,
Gdy znowu błysnie dzień.

A czemuż w ludzkiej duszy
Ponurych dum nie zgłuszy
Omamień mglistych rój—
Gdy po czarownej chwili
Ramiona nam pochyli
Życiowy ciężki znój?

Czyż siła jest na świecie,
Co ciernie nam odmiecie,
Nową obudzi moc?
Co tchnieniem swem nie spłoszy,
Tych krótkich chwil rozkoszy,
Zesłanych w cichą noc?
Marya Trzecińska.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańska.

(Dalszy ciąg)

Wieczorem, gdy przybyli do Końskich, okazało się, że jedyna gospoda, tam się znajdująca była zajęta całkiem przez dwór jakiegoś pana; więc też postanowiono dać tylko koniom wypo-

cząć i puścić się w dalszą drogę, zwłaszcza że noce nastąpiły już księżycowe, jasne prawie jak w dzień.

Gdy wyruszone z miasteczka, miesiąc tylko co wypłynął z za sinawej chmurki, jakby wstydliwie zarumieniony, lecz im wyżej się wzbijał, tem bardziej błedniał, lejąc potoki srebrnego światła na pola uśnieżone.

Niedaleko zaraz za miasteczkiem rozciągał się las olbrzymi, wyglądający teraz jak czarna ściana na widokregu. Majestatyczna cisza nocy zimowej otoczyła jadących, — czasami tylko koń parskał raźnie i brzękał wędzidłem lub śnieg zachrzęścił pod kopytem. A jednak, czuleś, że nie jest to sen śmierci — jeno spoczynek dla nabrania sił do nowego życia; ziemia bowiem pod śnieżnym pokryciem zdawała się usypiać łagodnie pogrążona w błogiem marzeniu.

Uroczysty spokój tej chwili oddziaływał na podróżnych; Magdzia przestała szczebiotać, a Ewa wzrokiem rozmarzonym patrzyła w dal srebrną.

Pan Jan, puściwszy wolno cugle koniowi, jechał nieopodal, milczący i zamyślony; — żał wkradał mu się do serca gdy wspomniał, że podróż ta wkrótce się skończy, lecz zarazem unosiła go nadzieja, że rozstanie owo nie będzie długiem, że wyrwie się wreszcie z zakłętogo koła, które go trzymało dotąd, i znów wróci do tego co porzucił i wówczas nie bez żalu a dziś nie mógł wspomnieć bez bólu o rozstaniu się. Myśląc o tem, drżał z niecierpliwości, by już jak najprędzej skończyć wszystko, oświadczając panu Andrzejowi Zborowskiemu, że opuszcza służbę w jego hufcach. Nie godziło się bowiem po tem co ów pan dla niego uczynił, porzucić go bez opowiedzenia się — ani honor ani wdzięczność na to nie pozwalały...

Teraz czas, spędzony w obozie Maksymiliana zdawał mu się tylko chwilą dziwnego jakiegoś oszołomienia, jakby snem przykrym i sama myśl, że znów można do niego powrócić, przemawiała go dreszczem, — zupełnie jak człowieka, który zaczerpnąwszy świeżego powietrza na chwilę, znów zmuszony jest powrócić do oddychania zgniętymi wyziewy.

Dokoła niego była cisza głęboka; sądząc, że w kolascie wszyscy posnęli, trzymał się w pewnem oddaleniu, i czuł dziwną rozkosz w myśli, że ochrania i czuwa nad ich snem spokojnym.

W tem w oknie pojazdu zaświeciło białe liczko Ewy a głos kasztelanowej obudził go z zadumy:

— Panie poruczniku, czy nie łaska służyć nam tutaj za towarzysza w kolascie? Będzie nam jakoś raźniej, a i waść nie bédziesz marzył na koniu podczas mroźnej nocy.

— Waszmość pani jesteś nazbyt łaskawą, — rzekł, zbliżając się, — ja już przywykłem do tego...

— A zkad waćpan wiesz, że my przywykłyśmy jechać nocą przez las? — przerwała kasztelanowa. — Chodź waść prędzej, bo to niegrzecznie kazać nam czekać!

Trzeba było spełnić rozkaz kasztelanowej. Oddawszy konia żołnierzowi, pan Jan wsiadł do kolaski.

W istocie wjechali do ogromnego lasu, który ciągnął się na kilkanaście mil, dając schronienie różnym łotrzykom z pobliskich okolic. Często też zdarzało się, że napadali oni tu na podróżnych, zwłaszcza nocą.

Pan Jan rozkazał też dragonom, by jechali po obu stronach powozu, część zaś miała posuwać się na przodzie, dla zbadania drogi.

Po obu stronach wznosiły się olbrzymie jodły i świerki, osypane szronem, a księżyc, wkradając się przez gałęzie oblewał wszystko srebrnym światłem i nadawał całemu otoczeniu jakiś czarodziejski urok. Cisza głęboka, która panowała tutaj, zwiększała jeszcze owo wrażenie; tylko czasem słyhać było leciuchny szmer osypujących się igieł szronowych, — i bałeś się przemówić, aby nie płoszyć owego uroku i nie zakłócić spokoju tej krainy czarów i dziwów. Wszystkie te jodły, świerki, sosny, stały odkryte białym puchem, nieruchome i jakby skamieniałe w jakimś oczekiwaniu, — jakby zasłuchane

w jakąś pieśń tajemniczą, dla nich tylko dźwięczącą. A w górze rozciągało się sklepienie niebios, podobne do płaszczka z ciemno-granatowego aksamitu.

Konie szły cicho, stąpając po miękkim śniegu; chwilami hełm dragona błysnął i znów pogrążył się w ciemności.

— Wyobrażam sobie, że Ewce serduszko bije ze strachu, — ozwała się kasztelanowa.

— O, nie ciociu, — odparła Ewa, — teraz już się niczego nie boję.

— To ty Janku dodałeś jej tak otuchy, — rzekła Magdzia, — dokąd ciebie nie było, ciągle mię ścisłała za rękę ze strachu...

— Co też gadasz, Magdziu nie bałam się wcale, — zaprzeczała Ewa zawstydzona.

— A czy daleko ten las się ciągnie? — pytała Magdzia.

— Oho, widzę, że moja panna siostra boi się także trochę, choć się z innych śmieje, — rzekł pan Jan.

— Ani myślę nawet; — albow to ja lasów nie widziałam? — odparła Magdzia z urazą.

— No, no, nie gniewaj się, wszyscy wiemy, żeś osoba doświadczona, — przerwała kasztelanowa. — A na Rusi czyś waćpan spotykał takie bory? — zapytała, zwracając się do pana Jana.

— Jeszcze większe niż te, — odpowiedział. — Osobliwie na Podolu, gdzie dzikie jary biegną z różnych stron ku Dniestrowi, znajdują się tak gęste i zawalne puszcze, że zda się, iż tam ludzka noga nie powstała od stworzenia świata. O onych puszczech różne dziwa ludzie tamtejsi opowiadają, jakoby w ich wnętrzu kryły się potwory nieznane; rusalki, dyabły leśne i inne nieczyste duchy. Ale myśmy nigdy nie takiego nie spotkali. — za to łotrzyków wypłoszyliśmy nieraz z ich kryjówek...

— To tam ludzie chyba za próg się nie ruszą bez broni?

— Oczywiście, — nawet niewiasty chodzą uzbrojone.

— A tak, przypominam sobie coś mówił o onych niewiastach, podobnych do amazonek, — rzekła Magdzia.

— A że też waćpana nie wzięła w jasyr żadna z onych amazonek? — ozwała się kasztelanowa żartobliwie.

— Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie nie są wcale miłe niewiasty co naśladują mężczyzn z ruchów i zachowania się, — odrzekł pan Jan. — Były między niemi niektóre bardzo zacne i urodziwe, ale nadto wszystkie śmiały w obejściu.

— Lecz i to prawda, że niejedna z nich za męża stanie, bo się niczego nie boją, od dziecka przywykły do ciągłego niebezpieczeństwa ze strony Tatarów. Każdy też Podolanin z urodzenia jest żołnierzem i nie wypuszcza broni z ręki, ale w obyczajach częstokroć niewiele się różni od Tatara...

— To straszni ludzie być muszą! — szepnęła Ewa.

— Nie mówię żeby wszyscy mieli być takimi, — rzekł pan Jan, — bo przecież starosta sniatyński jest wzorem pańskiego i miłego obejścia, choć na kresach wciąż żyje, a znałem także pomiędzy szlachtą niejednego grzecznego i gładkiego kawalera, — nawet z jednym z nich byłem w wielkiej przyjaźni...

— A gdzie on teraz? — spytała Magdzia.

— Już go niema w Sniatyniu i niewiem gdzie się obraca. Miał on tu u nas, w Sandomierskiem wujku, który umarł niedawno i zapisał mu majątność, pod warunkiem, że w niej zamieszka, — wyjechał więc i odtąd już się nie widzieli. Ale gdziekolwiek on jest, ani ja o nim ani on o mnie nie zapomni, jestem tego pewny...

— Widać, że tam między wami wielka przyjaźń być musiała? — rzekła kasztelanowa.

— To najzaciejszy przyjaciel, jakiego w życiu miałem, — rzekł pan Jan poważnie.

— Czy to ten sam Janku, o któregoś się pojedynkował wtedy? — spytała Magdzia.

— A cóż to takiego, nie słyszałam o tem? — przerwała kasztelanowa.

— Nic zupełnie, pani kasztelanowo, — odparł pan Jan, — to tylko Magdzia takie z tego robi wielkie rzeczy...

— Obaczmy, — musisz mi to waszmość kiedy rozpowiedzieć...

— Kiedy naprawdę, że niema o czem. Albo to gdzie się dużo młodych zbierze, którym szumi w głowach, bardzo trudno o pojedynkę?

— No, ja myślę, że waćpan nienaśladujesz w tem Ignacego, który z każdym żyjącym stworzeniem gotów się pojedynkować? — rzekła kasztelanowa.

— Ciociu, niech go ciocia już lepiej nie pyta, bo ja myślę, że on ma chyba także niejedno na sumieniu, — odparła Magdzia.

— Zgadłaś siostrzyczko, — wyrzekł ze skrucho w głosie. — Ale cóżem ja winien temu, że mam tak skorą do szabli rękę?

— To źle, — myślałam żeś waćpan trochę stateczniejszy od Ignacego, — rzekła kasztelanowa poważnie. — Powinieneś hamować rękę...

— Pani kasztelanowo, — odrzekł pan Jan, spuszczać głowę pokornie. — Bóg widzi, że chciałbym, ale nie umiem...

Magdzia roześmiała się serdecznie na te słowa i zawołała, klaszcząc w ręce:

— Ciociu, ciociu, niech mu ciocia jaką pokutę zada!

— A no, dobrze, — odrzekła kasztelanowa. — Ale jaką?

— Wiem, już wiem, niech go Ewca znów zacznie traktować, jak z początku, a będzie to dla niego najlepszą pokutą! — zawołała swawolna dziewczyna.

— Wolałbym stokroć pójść w jasyr do Tatarów! — odrzekł szybko, bez namysłu.

Kasztelanowa zaśmiała się a Ewa rzekła zmieszana:

— Co to tej Magdzi dziś do głowy przychodzi...

— To ona tak ze snu bredzi, — uspakajala ją kasztelanowa.

— Nie to, ale jabyam chciała poznać jakiego Podolaka, — dzielni to ludzie być muszą, — rzekła Magdzia, zaglądając w okno.

Tymczasem pan Jan także spojrział w drugie okno. bo mu się zdało, że słyszy oddalony tentent. Nagle ujrzał głowę w hełmie, pochylającą się ku sobie; był to wachmistrz, który rzekł z cicha:

— Panie poruczniku, jakiś oddział idzie naprzeciwko nas, jest już niedaleko, bo słyszę nawet jak konie parskają.

W istocie w tem mroźnem, nocnem powietrzu wszelkie odgłosy rozlegały się bardzo wyraźnie.

— Słyszę i ja to samo, — odrzekł pan Jan, również cicho. — Podaj mi konia.

— Waćpanie darują, — dodał głośno, — że je opuszczę, muszę bowiem obaczyć co się dzieje na przodzie...

I szybko wskoczywszy na podanego konia, znikł im niebawem z oczu.

Magdzia wychyliła głowę ciekawie i ujrzała jakiś ruch pomiędzy żołnierzami. Służba kasztelanowej skupiła się dokoła kolasy.

Nagle cały poczt się zatrzymał.

— Co tam się stało? — spytała kasztelanowa marszałka.

— Nie wiem, jasnie wielmożna pani kasztelanowo, — odrzekł stary, drżąc jak liść.

W tejże chwili hałas jakiś wszczął się na przodzie i kula ze świstem przeleciała nad kolasą, za tem więcej się ich posypało po obu stronach z zarośli. Ludzie kasztelanowej popadali na ziemię. Z sani gdzie jechały kobiety fraucymeru, dały się słyszeć przeraźliwe wrzaski. Panna Petronela krzyczała tak, jakby przekonana była, że wszystkie kule w jej łono wymierzone były, a krzyk jej płoszył konie, które poczęły się wspinać, gdyż w życiu swoim podobnego wrzasku niesłyszały.

Nagle, przy świetle strzału muszkietowego Magdzia ujrzała jakąś głowę pochylającą się do okna pojazdu, i jakiś głos chrapliwy krzyknął:

— Dalejże, otoczyć kolaskę!

Poznała głos Harasowskiego. Na krzyk jego odpowiedział strzał.

— A, łotrze, dam ja ci kolaskę! — zawołał Michał Zawała, podczas gdy Harasowski skoczył w bok, uniknąwszy tym sposobem kuli.

W tejże chwili pan Jan znalazł się na miejscu. Drzewa tu były rzadsze i księżyc oświecał dobrze drogę i postacie ludzkie, znajdujące się na niej; pan Jan przy jego świetle poznał pijacką twarz Harasowskiego.

— Łotrze,—zawołał, rzucając się ku niemu,—to już jak rozbójnik będziesz na drogach napadał?

— A pamiętasz jakieś mię przyjął? No, to i ja ci chciałem się odplacić! — odparł Harasowski, cofając się przed nim za drzewo.

— Ja cię tu zaraz lepiej przyjmę! — zawołał pan Jan, naciskając go koniem. — Michał, pilnuj kolaski! — krzyknął na wiernego pachołka, sam zaś puścił się w pogoń za Harasowskim, który, widząc, że źle, zaciął konia i począł sadzić przez zarośla i pnie; a gdy czuł, że przeciwnik wciąż się przybliża i już go ma dosięgnąć, obrócił się na siodle i strzelił z pistoletu. Kula przeleciała panu Janowi tuż obok głowy, lecz wpadłszy pomiędzy konie zaprzęgu i drasnawszy jednego, tak je popłoszyła, że się wspięły i poniosły gwałtownie karocę. Woźnica nie mógł je powstrzymać, bo przerażone coraz bardziej krzykiem i strzałami, pędziły jak szalone. Niedaleko ztamtąd przepływała rzeczka a na niej znajdował się mostek dość wysoki ale wązki; tam to karoca przechyliła się raptem i wywróciła, pociągając za sobą i konie.

Hajduk i węgrynek, siedzący na koźle z początku jeszcze odrzuceni na bok, leżeli między drzewami nie śmiejąc nawet stęknąć, z obawy, by nie być dostrzeżonymi, reszta dworu pozostała z tyłu na drodze, żołnierze ścigali napastników i zdaleka tylko dochodziły odgłosy walki, do koła nie było żywej duszy, a woźnica leżał spętany między końmi, jęcząc i stękając. Ogromna landara, wywrócona bokiem, przedstawiała jakąś masę niekształtną i nie było sposobu wydostania się z jej wnętrza;—szczęściem upadek był dość łagodny, z powodu śniegu, nagromadzonego na powierzchni zamarzonej rzeczki, — i prócz chwilowego przestachu, nikomu nie się złego nie stało.

Magdzia najpierw oprzytomniała i przekonaawszy się, że obie jej towarzyszki zdrowe i całe, mimowoli zaczęła się śmiać, pomimo, że położenie nie było bardzo wesołe.

— Będziemy musiały przesiedzieć tu długo w więzieniu,—mówiła,—bo oni gdzieś daleko jeszcze...

Ewa milczała lecz drżała jak liść.

— Ale gdzie ten niedołęga Żabicki? — wołała kasztelanowa.

— Niech się ciocia od niego niespodziewa pomocy, oni już tam pewnie wszyscy poumierali ze strachu,—rzekła Magdzia.

Wtem do ucha jej doszło stękanie woźnicy.

— Mateuszu! — zawołała, — czyś ty żyw jeszcze?

— Oj, nie wiem, panieczko,—wystękał Mateusz,—zdawało mi się że już umarł.

— No, jeśli ci się tylko zdawało, to dzięki Bogu!—rzekła, śmiejąc się.

Jeszcze raz próbowała wdrapać się aż do otworu, lecz wszelkie jej usiłowania były daremne.

Pan Jan, tymczasem, nie mogąc doścignąć Harasowskiego, który skręcił w bok w gąszczu, pozostawiając swoim dragonom pogoń za rozproszonymi żołnierzami, niespokojny co się dzieje z kolaską, zawrócił konia i popędził na to miejsce gdzie stała. Dojechawszy jednak do mostku, ujrzał jakiś ogromny, czerniejący na śniegu przedmiot, i zrazu nie mógł odgadnąć, co by to być mogło; i dopiero przybliżywszy się dosłyszał chrapanie koni i stękanie woźnicy. Zeskoczywszy z konia, przerażony rzucił się w tę stronę, drżąc na myśl o tem, co tam zastał.

— Kto w Boga wierzy, ratujcie!—stękał woźnica, który nie mógł się wcale ruszyć.

— Co się tu dzieje?—zawołał pan Jan.

Z wnętrza karocy dał się słyszeć głos, który uspokoił go nieco.

— Dobrze żeś waćpan przyszedł, a to siedzi tu uwięzione,—mówiła kasztelanowa.

— Więc nic złego się nie stało waćpaniom? — spytał drżącym od wzruszenia głosem.

— Nic, nic, bądź waszmość o nas spokojny, — oswobodź nas tylko jaknajprędzej!

Niebawem z drugiej strony nadbiegł zdyszany Zawala; dopomógł on woźnicy wydobyć się i porozplątywać konie, które już dusiły się; poczem sprowadził sanie, aby panie mogły przez się się, nim kolaskę podniosą. Pan Jan z jego pomocą zdołał wydostać z jej wnętrza uwięzione kobiety.

Magdzia pierwsza ze zrećnością kotki uczepiwszy się ramienia brata, była na wierzchu; ponieważ śnieg leżał dokoła głęboki, więc pan Jan przeniósł ją do sani, śmiejąc się serdecznie z całej tej przygody.

Ewa drżąca jeszcze i niemal nieprzytomna ze strachu, w pierwszej chwili chwyciła silnie za szyję niosącego, lecz oprzytomniawszy, zawstydziła się tak, że chciała mu się wyrwać z rąk i sama brnąć po głębokim na łokieć śniegu. Pan Jan przycisnął tylko lekko swój ciężar i ostrożnie, jak coś nader kruchego, złożył w saniach obok Magdzi.

Pozostawała tylko kasztelanowa, najtrudniejsza do wydobywania. Gdy wreszcie wspólnymi siłami udało się ją wydostać a pan Jan ofiarował się także przenieść ją do sani, odmówiła wręcz:

— Nie, nie, byłoby to okrucieństwem z mej strony wymagać od waćpana tej kawalerskiej usługi. Nie jesteś przecie Sw. Krzysztofem ani Herkulesem abyś mógł unieść podobny ciężar, a jaby się wciąż bała, byś gdzie razem ze mną w śnieg nie upadł.

— Cóż to waszmość pani masz tak złe pojęcie o mojej sile i uprzejmości? — rzekł pan Jan z uśmiechem.—Gdzieżbym mógł pozwolić na to, byś waćpani brnęła po śniegu!

— Nie, nie, już ja jakoś przejdę,—odparła.—Daj mi waćpan pokój ze swą uprzejmością! — ofuknęła go, gdy podchodził, — wołę ją przejść na własnych nogach, choćby się nieco zaśnieżyło.

Odgarnięto więc śnieg między kolasa a saniami i kasztelanowa dostała się do nich szczęśliwie.

Magdzia, która przed tem jeszcze miała wielką chęć śmiać się z Ewy, wciąż jeszcze zmieszanej i prawie bliskiej płaczu, teraz była bardzo rada, że może żartować do woli z pana Jana.

— Aha, Janku, prawda, że cię konfuzja spotkała?—wołała, wychylając się z sani. — A co,—jako ciocia mało sobie waży siłę zbrojną, kiedy twoją pomocą wzgardziła!

— Przyznaję, że wielka to dla mnie konfuzja,—odrzekł pan Jan.

Dwór kasztelanowej, ochłonawszy ze strachu, zabrał się do podnoszenia karocy, która niewiele uszkodzeń doznała, tymczasem dragoni powracali z pościgu za nieprzyjacielem. Kasztelanowa, kazała przywołać Zawalę, podziękowała mu za obronę, Magdzia również uśmiechnęła się i skinęła mu główką z wdzięcznością.

Dzielny chłopak rzeczywiście przez cały czas walki osłaniał kolaskę, aż dokąd konie nie poniosły. Otrzymał on także gorące podziękowanie z ust panny Petroneli, którą uspokajał gdy ze strachu, po skończonej bitwie, poczęła mdleć. To też był tak troskliwy, że już w dalszej podróży nieodstępował od sań, na których jechała z kilkoma innymi pannami i widocznie, że je musiał bawić dobrze, bo wciąż było słychać chichot.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wróżbiarstwo w Egipcie.

„Przyszłość! — „wróżba przyszłych losów! — Pomimowoli, mimo niedowiarstwa i zimnego rozsądku, na dźwięk tych wyrazów, każde serce żywiej nieco zakolętać musi, bądź troską i nie-

pokojem, bądź żądzą i nadzieją szczęścia; albo też li tylko zwykłą ciekawością, która to wada naprzekór złym językom, nietylko nam, kobietom, ale wszystkim świata mieszkańcom jest wrodzona. Któż bo z nas nie pragnąłby choć raz w życiu uchylić rąbek tej zasłony, co nam kryje tajemnice jutra. Nawet nędzarz, któremu ciężka każda godzina życia, nawet starzec, dźwigający na swych barkach wspomnienia długich lat niedoli i zawodów, i oni jeszcze wyglądają z upragnieniem nowej zorzy, czekają, co im przyszłość przyniesie.

To pragnienie, ta ciekawość ogólna, jest właśnie przyczyną, iż wiara w zabobony, wróżby, przecucia i gusła tak długo przechowuje się u ludów, pomimo cywilizacji i wzniosłych religijnych pojęć.

Ludy środkowej Europy skłonniejsze do chłodnej rozważki, w życiu swem czynnym, w ciągłej walce o byt codzienny, otrząsnęły się łatwiej z dawnych przesądów, zarzuciły zwyczaje i gusła wpół pogańskie. A jednak jeśli zejdziemy do chat wieśniaczych, to znajdziemy jeszcze, tu i owdzie, liczne echa dawnych zabobonów i tej naiwnej wiary, która nas łączyła ze światem nadprzyrodzonym i pozwalała nam zajrzeć w przyszłość nieznana.

W górach Styryi np. każde najzwyczajniejsze zdarzenie daje często sposobność do wróżb i przepowiedni przyszłości: nie przzerwana w krosnach lub w kądzieli przepowiada śmierć ukochanej osoby albo niepowodzenie w zamysłach, iskry sypiące się z komina, gdy wichur ogień ku izbie zawróci, wróżą bogactwo tej osobie, na którą padną i t. p.

A ileż to u nas w Polsce podobnych wróżb i baśni, do których lud nasz silną przywiązuje wiarę, a których początku chyba w podaniach i przesadach na wschodzie po dziś dzień zachowanych, szukać musimy. Wschód bowiem był od wieków i jest dziś jeszcze ojczyzną wróżbiarzy i czarów, tajemniczych guseł i zabobonów.

Baśnie, legendy i wróżby, uzupełniają tu życie mieszkańców, stają się niejako niezbędnym pokarmem dla ognistej wyobraźni, której umysłowa nie zużyła praca. W spuściznie po starożytnych Egipcjanach, słynnych w sztuce wróżbiarstwa, odziedziczyli tę umiejętność Arabowie. Lud ten z dziecięcą naiwnością lubuje się w baśniach, marzy o cudach i czarach. Sam widok natury usposabia go do tego: pod skwarnem słońcem wschodniego nieba krew żywiej nabiega do skroni, w bezgranicznej przestrzeni pustyni myśl buja swobodnie i błąka się jak motyl, promieniami światła upojony.

Dla Araba, cały świat widomy dokoła, tak przestrzeń przejrysta błękitu, jak i groźne skały pustyni, fale Nilu, starożytne gruzy i nawet zakątki własnego domostwa, zaludnione są złemi i dobrmi duchami: „Dżinnami.“ Dżinny są to istoty pośrednie między aniołami i ludźmi. Nie mają one krwi i ciała, są więc dla nas niewidzialne, dzielą jednak nasze mieszkania i zajęcia, mają swych władców, swe królestwo nadpowietrzne i mogą wpływać źle lub dobrze na losy nasze. Dlatego też Arabowie obawiają się obrazić czemkolwiek „dżinny,“ lub wzbudzić ich niechęć. Zemsta ich może być straszną. To też często słyszeć można, jak Arabowie przy pracy jakiej lub zajęciu ręcznym powtarzają z cicha: „Destur ya mu barakin“ (ustąpcie, o błogosławieni!) Służący nasz Arab powtarzał codziennie te słowa, omiatając kurz, lub czyszcząc suknie. Za żadną cenę niebyłby on chwycił za szcztokę wieczorem po zachodzie słońca, gdyż, jak twierdził, najłatwiej w takiej porze potracić dżinna. Gdy mu się zdarzyło stłuc lub zniszczyć jakiś przedmiot, składał tę winę na dżinny i ich złośliwość, zamykał się w swym pokoju i pościł przez dni kilka, aby przebłagać nieprzychylnie duchy.

Arabowie są przekonani, że istnieją ludzie którzy przez długie posty, przez powtarzanie niektórych ustępów koranu, a szczególnie przez znajomość pewnych słów kabalistycznych, uzyskują władzę nad Dżinnami. Wtedy duchy te posłuszne, wyjawiają im przyszłość, uczą różnych czarów, dopomagają w znajdowaniu skarbow, wykryciu złodziei i t. p. Setki ksiązek da-

wnych, znajdujemy w Egipcie, podających przepisy co do czarów i władzy nad „Dzinnami.“ Oprócz modlitw, postów i wyrazów kabalistycznych podają te książki recepty na silne aromatyczne kadzidla, które przy każdym wywoływaniu duchów i przy innych czarach lub wróżbach użyte być musi. Kadzidło to, w którego skład wchodzi: aloes, benzoina, żywica i rozmaite aromatyczne zioła, działa odurzająco na nerwy, nie dziw więc, że osłabieni postami i bezsennością wróżbiarze, albo też osoby drażliwych nerwów, widzą istotnie widma i zaczynają fantazyować pod wpływem ostrego narkotycznego dymu.

Jednakże nie musi to być trudno osiągnąć związek z Dzinnami, gdyż widzimy w Egipcie niezliczoną ilość wróżbiarzy. Dniem i nocą sportykać ich można w ulicach Kairu. Szeptając swe formułki i zaklęcia, w niezrozumiałym dla nas, dziś nieużywanym, języku ofiarują oni przechodniom swe usługi. Jedni czytają z gwiazd przyszłe losy i zdarzenia, drudzy: szczególnie kobiety wróżą z ręki i z pomocą drobnych muszelek *); inni jeszcze ofiarują czarodziejskie leki przeciw urokom, środki niezawodne budzące miłość lub też idą o zakład, iż odgadną nasze myśli i w czarodziejskiem zwierciadle ukążą nam ukochaną lub oddaloną osobę. Zwierciadło takie jest istotnie najbardziej zajmującym ze wszystkich czarodziejskich sztuczek.

Kuglarz czyli wróżbita, zakreśla najpierw swą pałeczką czworobok lub koło i w środku tegoż stawia małego chłopca, dziecię niewinne lat najwyżej 12-stu, dając mu w rękę kubek napelnięny kawą lub wodą, w którą każe mu nieustannie patrzeć.

Po tych pierwszych przygotowaniach, rozpala kadzidło, w ten sposób, iż dym cały owiewa chłopca, którego oczy wkrótce gorączkowego nabierają blasku a ręka drżąc zaczyna pod wpływem narkotyku. Wtedy kuglarz chwytając chłopca za rękę i nie spuszczaając go na chwilę z oczu, każe mu opowiadać co widzi w wodzie lub na dnie kubka, jaka postać mu się okazuje etc.

Odpowiedzi dziecka są zazwyczaj niejasne i jakby w gorączce powtarzane, ale wróżbita tłumaczy je i wyklada w swój sposób.

Miałam sposobność przypatrzeć się dokładnie gustom i czarom wróżbitów arabskich, gdyż chcąc zadowolnić ciekawość kilku pań turystek, spędzających zimę w Kairze **), zaprosiłam do siebie trzy najsłynniejsze wróżki i ciemnego wróżbitę o którym mi mówiono, że najskrytsze myśli odgadywać umie.

Wróżki nie wyglądały wcale czarująco; były stare i brzydkie jak wiedzmy Makbeta. Zasiadły one bez ceremonii u stóp naszych, na marmurowej posadzce: czarne jedwabne zasłony, naszywane złotymi haftami i monetami, okrywały ich ramiona i w pół nagie piersi, na których widać było tatuowane dziwaczne znaki i figury.

Na szyjach zawieszono miały amulety i nawleczone, jak paciorki, zęby dzikich zwierząt, statuetki egipskie i rozmaite skamieniałe przedmioty, które w pustyni łatwo znaleźć można.

Na ramionach i na nogach wróżek błyszczały złote i srebrne bransolety, a we włosach rozmaite monety, pierścionki i rozmaite świecidełka.

Jedna z wróżek wróżyła z muszelek, które nam mięszać i rozrzucać kazała na posadzce; druga rozpalila kadzidło i w dziwacznych kłę-

bach dymu widziała nasze przyszłe losy; trzecia wreszcie zapaliła ogień z drzazg żywicą przesiąkniętą i kazała nam kolejno przeskakować przez ten ogień lub dmuchać na płomień.

Wróżby ołnosiły się zawsze do stałości męża, miłości kochanka lub narzeczonego, ilości potomstwa i t. p.

O wiele więcej zajmującym okazał się wróżbita ciemny, myśli zgadujący; wysypał on przed nami kilka garści piasku, poczem ująwszy za rękę dotyczącą osobę pytał ją najpierw jaką barwę i jakie zwierzę najbardziej lubi, z jakiego kraju jest rodem i ile ma lat.

Przy tych pytaniach przesuwał zlekka palcami po twarzy i rękach mówiącej, jak gdyby magnetyczne kreśląc znaki. Wreszcie kazał każdej z nas na wysypanym piasku nakreślić znak jakiś lub wyraz, po którym długo wodził palcem, mrużąc modlitwy i zaklęcia. Wreszcie podnosił głowę radośnie i powoli jak gdyby istotnie czytając w myślach naszych, wygłaszał swą wyrocznię.

Zdania jego jakkolwiek zawsze nieco dwuznaczne i allegoryczne, były czasem dość trafne. Jednej z nas powiedział on, że myśli o tem, co jest początkiem i końcem wszystkiego na świecie, ale że ta rzecz oddalona od niej jeszcze i że myśleć o tem niepowinno.

Ponieważ dotycząca osoba myślała o śmierci, więc to powiedzenie okazało się dość trafne.

Pytałem ciekawie naszego wróżbitę kto go nauczył tej czarodziejskiej sztuki a szczególnie owych wyrazów kabalistycznych; powiedział mi, że już dziad jego był wróżbitą i że już przed wiekami niektórzy uczeni przez świętobliwe życie i długie posty doszli do tej wiedzy.

Byłoby istotnie ciekawem zbadać, jakich stuleci zabytkiem jest owa czarnoksiężka wiedza i literatura, i czy Arabowie przenieśli ją z Azji nad brzegi Nilu, czy też odziedziczyli po starożytnych mieszkańcach Egiptu?

Jednakże tak jak trudno zbadać jakiego morza ziarnem jest perła, która z rąk do rąk w spuściznie przechodzi, tak też trudno dociec początku owych tradycji i baśni ludowych, co przekazywane z pokolenia na pokolenie, ocalały w powodzi wieków, lub przeniesione zostały z dalekich brzegów.

Dusza ludu przechowuje te wspomnienia minionych wieków, pomimo walk i przejść rozmaitych, tak jak łono ziemi pomimo burz i przewrotów, które jego powierzchnię przekształcają, zachowuje w głębi ślady dawnej wegetacji i zgasłego przed wiekami życia.

Anna Neumann.

Z bieżącej chwili.

— W „Zbiorze praw“ ogłoszony został Najwyższy Rozkaz o utworzeniu kuratorów trzeźwości w Królestwie Polskim.

— Ministerium oświaty zajmuje się kwestyą wprowadzenia wszędzie nowego ułatwionego systemu zezwoleń na wygłaszanie odczytów ludowych. Dotąd taki ułatwiony system wprowadzono tylko do petersburskiego okręgu naukowego, gdzie pozwoleń na odczyty udziela kurator.

— Ministerium skarbu wydało rozporządzenie do władz celnych, ażeby na przyszłość wszelkie aparaty i utensylja, dające możność produkowania odbitek, na równi z maszynami piszącymi, prasami drukarskimi, ręcznymi i t. p. wydawane były tylko tym osobom, które przedstawiają pozwolenie miejscowego gubernatora.

— Teatr Wielki zamyka sezon operowy dnia 13 b. m. „Goplana“ Żeleńskiego. W nadchodzący poniedziałek daną będzie „Rycerskość wieśniacza“ Mascagni'ego, w której debiutować ma w roli Santuzzy pani Szymańska.

— Zjazd przedstawicieli kolejowych uchwalił, ażeby podróżni, pragnący przerwać swoją podróż na przystanku, nie mającym kasy osobowej, stemplowali bilet na stacyi, przystanek ten poprzedzającej, i wykupywali bilet dodatkowy od tej stacyi do następnej — za przystankiem. Jeżeli się okaże, iż na danym przystanku zatrzymuje się większa ilość pasażerów, kolej obowiązana będzie urządzić kasy osobowe.

— Zapisy na członków warszawskiego związku roboczego (artelu giełdowego) dosięgły już liczby 80, wymaganej przez ustawę, dla zawiazania stowarzyszenia. Za kilka dni odbędzie się zgromadzenie organizacyjne.

— Tow. dobroczynności w r. b. po raz pierwszy dokonało zbierania składek po domach nie przez woźnych, lecz przez specjalnie w tym celu delegowane osoby. Sposób ten okazał się bardzo praktycznym, suma bowiem zebrana w ciągu dwóch miesięcy wyniosła 7,712 rubli. Za ten tak pożądaný rezultat zarząd Towarzystwa składa podziękowanie mieszkańcom Warszawy oraz delegatkom i delegatom.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: arkusz 14 i 15 T. II, powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

*) W ulicach Kairu spotkać można codziennie kobiety, potrzęsające koszami muszelek i koszyków i krzyżące w głos: „Fortuna, Fortuna!“ Są to wróżbitki, ofiarujące obcym swe usługi.

**) Między turystkami temi znajdowała się wtedy młoda księżna Radziwiłł (z domu Rzewuska) i chlubnie znana w literaturze naszej: Estreja.

Treść: Grzechy pedagogiczne. Studya z natury, przez Janinę S. Aleksotę. III.—Pogawędka, przez ??—Stanisław. Nałęcz-Ostrowski. **Idealy** niewieściach poetek polskich. Studium etyczne-literackie (dalszy ciąg).—Mgła, przez Maryę Trzebińską.—**Bezkrólewie**, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg).—**Wróżbiarstwo** w Egipcie, przez Annę Neumann.—**Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusz 14 i 15 T. II. Przekład Z. S.—Przeгляд mód. 19 wzorów i robót z opisem. **Sekrety** gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków.—Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою.—Варшава, 27 Мая 1898 г.